

TAK SIĘ ZACZEŁO

No tak. Miałam zamiar pisać na bieżąco, a tymczasem przeleciały dwa tygodnie rejsu i nic. Nie było kiedy. Albo bucołapki, albo jazda, albo spanie. No, tośmy dojechali do San Vito i Andrzej już zdążył pojechać, to dostaniecie wszyscy tego newslettera z opóźnieniem znacznym, ale później będzie, jeśli nie bardziej regularnie, to może częściej - jak mail zacznie działać, bo na razie nie funkcjonuje.

Wystartowałyśmy planowo, a właściwie to wystartowaliśmy, bo na ten pierwszy odcinek z Monfalcone do Portoroż pojechali z nami chłopcy z firmy Andrzeja i oczywiście sam Andrzej, więc ten klasztor pod żaglami, o niezmiernie surowej regule (celibat, abstynencja i mantry) zacznie się dopiero od następnego portu. I dobrze bardzo, że chłopaki popłynęli z nami, bo już na wyjściu z Monfalcone, jeszcze na torze wodnym uaktywniła się pierwsza bucołapka - silniki się przegrzały i to o dziwo najpierw na Mantrze Ani. Dalej na żaglach. Na szczęście Jarek i Maciek szybko problem rozwiązali - teraz nie mamy podgrzewacza wody, ale za to mamy sprawne silniki. Co tam podgrzewacz, i tak bez silnika nie działa.

- No to czas na papierosa - powiedział Jarek po przejęciu toru wodnego.
- Nie. - Moje kapitańskie nie było tak mocne, że Jarka zatkało. Zdurniała baba i chce wprowadzić zakaz palenia? - Czas na wódkę. Trzeba wypić z Jego Wysokością Neptunem, żeby nas lubił.

Bo reguła regułą, ale tradycji trzeba przestrzegać. Dopełniliśmy zwyczaju szlachetną rudą wódką na myszach.

W Portoroż zatankowałyśmy wodę i paliwo i pożegnałyśmy czule chłopaków. Jedziemy. Gosia wczoraj zakatarzona, dzisiaj rozłożona zupełnie. Leży w gorączce, nie nadaje się do żeglugi. No to ja, choć miałam być umysłowa, a Gosia manualna, bo szwy z ręki świeżo zdjęte, muszę sama jechać. Okazuje się, że nawet nie jest tak źle. Na szczęście te łódki dają się obsługiwać jednoosobowo. Dobrze, że mamy chłopaka do sterowania. Jeszcze nie ustaliłyśmy, jak ma na imię, jakoś tak, raz mówi mi się do niego Ziutek a raz Wacek, może dzięki temu mamy wrażenie, że na tej damskiej łódce są z nami jacyś mężczyźni. Ziutek to fajny chłop, bez nałogów, nic nie mówi, trochę tylko mruczy pod wąsem, steruje. Steruje wykonując ruchy posuwisto-zwrotne zawsze sztywną pałeczką. Seksi jest. Chłopak jak marzenie, zawsze chętny i gotowy, wiagry nie potrzebuje, tylko trochę cienki. Nikt nie jest doskonały. Ale zawsze to facet. Tylko na dużej fali albo na małej prędkości nie daje rady. Wtedy trzeba zabrać mu ster i sterować ręcznie.

Przez pierwsze parę dni śpię mało, Gosia wychodzi na kilka godzin rano, kiedy gorączka jej spada, ja mam wyrzuty sumienia, że jej może zaszkodzić, ale nie ma wyjścia, muszę choć trochę czasem się przespać. Na szczęście do Porto di Vesto warunki ulgowe, więcej jazdy na silniku niż na żaglach.

A to Porto di Vesto to zadupie, że aż nieprawdopodobne. Stoimy przy kei dla dużych statków, bo przy kejach dla jachtów nie ma miejsca. Do najbliższej metropolii 7 km. Za to prysznic kosztuje 20 centów i za postój nie musimy nic płacić. Anka jednak musi się przestawić do mariny, bo nie ma ładowania. Musi się podładować z kei. Znalazło się miejsce dla jednej łódki. W SMS-ie do Andrzeja piszę, że nam zadupie wyszukał. Dzwoni i pyta - co nie podoba się? - Podejrzewamy, że Andrzej specjalnie wybiera nam takie porty, żebyśmy żadnych pokus nie miały, w Anconie też wszędzie było daleko, tyle, że marina duża. Andrzej podaje

prognozę - ma zacząć wiać, do 20 węzłów. Najbardziej koło przylądka Vieste, dlatego radzi nam, żebyśmy jak najwcześniej go przeszły. Do Vieste jedziemy trochę na żaglach, trochę na silniku, bo wieje z przerwami. Ale już się musiałyśmy refować. Za cyplem wieje bardziej, tyle, że z rufy, jedziemy na samym grocie na dwóch refach, Ziutek daje sobie radę jak się ustawimy całkiem rufą do fali, przy baksztagu ma trudniej. Ance siada zupełnie prąd, stopniowo wyłączają jej się poszczególne urządzenia, zdążyła jeszcze powiedzieć mi o tym przez UKF-kę zanim straciła łączność. Umawiamy się, że trzymamy się blisko i my wprowadzamy ją do Bari. Zdążyłam jej jeszcze podać kurs. Idzie ładnie przed nami, trzyma się podanego kursu. Nagle skręca w lewo i jedzie ostro. Klnę, co babom na tamtej łódce odbiło, jadą w maliny, ale co robić, wiem, że nie ma łączności, nie mają nawigacji, muszę zmienić kurs i iść za nimi, bo nie mogę ich zgubić. Podchodzę na odległość głosu. Drę się, co się stało. Anka drze się, że wszystko jej padło. To wiem, od dawna, tylko czemu nagle skreśliły? Ale wracają już na kurs. Później dowiemy się, że właśnie padł im autopilot.

A jeszcze przed pierwszym refem był pierwszy delfin. Cichutko jadę sobie w nocy i słyszę nagle znajome sapanie, fukanie. Raz z lewej burty, raz z prawej. Wypatruję w ciemności, nic nie widać, tylko fuk, fuk, wydmuchuje powietrze, no pokaż się kolego, nie chowaj, wiem, że tu jesteś. Nagle widzę przy samej lewej burcie znajomy kształt i białą smugę. Tu plankton nie świeci jeszcze jak na oceanie, ale i tak delfiny na chwilę zostawiają białe ślady na wodzie. A potem skoczył pod światło księżyca. Chwilę mi jeszcze towarzyszył posapując, a potem poszedł sobie.

BARI

Idziemy do Bari, za rufą przewalają się cumulonimbusy, z UKF-ki lecą ostrzeżenia przed silnym wiatrem. Na raz czwórka, na dwóch refach trochę za wolna jazda, ale lepiej się nie rozrefowywać. Do Bari coraz bliżej, może zdążymy zanim walnie. Nie zdążyłyśmy. Przyszwał wiatr, trzeba zabrać ster chłopakowi, wołam Gosię do pomocy. Chcemy zrzucić grota, ale nie możemy wyostrzyć, bo po nawietrznej mamy dziewczyny. Gosia próbuje od nich odjechać, odpada ile się da, a one za nami. Nie mamy jak im tego powiedzieć, nie ma łączności, a one jadą za nami. Tego grota naprawdę niesiemy za dużo, a nie możemy nic z tym zrobić. W końcu udaje nam się trochę je odstawić. Ostrzemy, zrzucamy grota, stawiamy foka. Idziemy na samym foku 6 węzłów. A Andrzej mówił, żeby nie chodzić na samym foku, bo za wolno.

W UKF-ce mayday. Słucham, coraz bardziej zdziwiona. Jacht wzywa pomocy z portu Bari. Stacja brzegowa jeszcze raz prosi go o pozycję. Czy jest poza portem? Nie, jest wewnątrz portu, stoi na ścianie, rozwalił się o falochron. Zastanawiamy się, czy w ogóle wchodzić do Bari. Dzwonię do Anki, mówię, jaka jest sytuacja, Anka lamentuje, że musi wejść do portu, bo bez prądu nie da się jechać. Wołam port przez UKF-kę. Pytam harbormastera o warunki wejścia, czy w ogóle można wejść do portu, jak tam teraz akcja ratownicza, ściągają go ze ściany, to może nie da się wchodzić. Harbormaster mówi, że możemy wchodzić, zresztą do portu jeszcze 6 mil, będziemy tam dopiero za godzinę, to już go ściągną. No to idziemy, Gosia steruje, ja biegam co chwilę do GPSa zobaczyć, czy dobrze. Przed samym portem deszcz, widoczność żadna, wieje, idziemy na silniku i na foku. Harbormaster woła nas przez UKF-kę, każe sobie podawać mnóstwo danych, w końcu podaje nam numer stanowiska, gdzie mamy stanąć. Pytam go, w którym basenie, mówi, że po lewo od nas będzie stał jego człowiek. Gosia pięknie wjeżdża do portu, ja zrzucam foka, przygotowuję cumy i rozmawiam z portem. Przy lewej ścianie samochód z zapalonymi światłami to dla nas znak. Patrzymy z lekkim przerażeniem, powaliło ich, chcą mieć kolejny jacht na ścianie? Podchodzimy, podaję cumę facetowi, próbuje założyć na poler, ucho za małe, nie przewidziałam, że poler będzie

miał ponad metr średnicy, facet nie umie ucha powiększyć, rzuca nas na gumę, dobrze, że jest ta guma, bo nasze odbijacze takie symboliczne bardziej, dekoracyjne może są, ale nic więcej. Anka za nami, wołamy do niej, żeby nie podchodziła, do faceta, żeby oddał cumę. Facet mówi, że w innym miejscu będziemy musiały płacić. Co oni, myślą, że jak jacht z Polski, to już go nie stać na zapłacenie za marinę? OK., mogę płacić, chcę tylko bezpiecznie stać. Oddaje cumę, idziemy do mariny. Harbormaster znowu nas woła, podaje jakiś numer telefonu, żeby dzwonić, to nam podadzą miejsce. Próbuję dzwonić, nikt nie odpowiada. Jeździmy po marinie, zapchana do ful, ale znajdujemy dwa miejsca obok siebie. Biegnie do nas przystojny młodzian, przyjmuje cumy, podaje mooringi, Ance daje trap, a nam odbijacz. Okazuje się, że to bosman. Mówi, że jak na jedną noc, to nie musimy nic płacić.

W Bari wieje coraz bardziej, na drugi dzień jeszcze odkręciło i jest dopychający. Wali rufą o keję, odbijacz amortyzuje, ale i tak uszkodziło nam drabinę. Mooringa nie daje się bardziej wybrać, chociaż pomaga nam powerfulna Anka. Kiwa nami okrutnie, oglądamy jak morze przewala się przez falochron. Nie ruszamy się z portu, dobrze, że oglądamy ten sztorm z tej strony główek.

Przychodzą fachowcy od Yanmara. Podłączyli Ance ładowanie, okazało się, że od początku nie miała ładowania z silnika, po prostu, założyli jej bucołapkę. Prosimy ich też do nas, bo nasz silnik się nie wyłącza, to znaczy, nie działa guzik, trzeba iść do kibla, otworzyć ściankę i ręką nacisnąć różowy cycek. Tak mamy od samego początku, już doszłam do niezłej wprawy w wyłączaniu, ale to nie powinno tak być. Okazuje się, że trzeba wymienić wyłącznik, nie mają go. W Yanmarach nic się nigdy nie psuje, to nie mają części zamiennych, trzeba ściągnąć z centralnego magazynu, a może nawet z Japonii, będzie trwało tygodnie, skąd ja to znam? Trudno, dalej będziemy wyłączać maszynę z kibla. Gorzej, bo GPS z laptopem jak nie był połączony tak nie jest, tyle że Gosia wpadła na to, jak rozmawiać przez SSB. Po prostu, trzeba ustawić częstotliwości simplexowe i działa.

Siadło. Jedziemy dalej. Dzień zapasu wykorzystany, teraz musimy iść zgodnie z rozkładem jazdy. Halsujemy się przez Cieśninę Otranto. Wieje pięć do sześć, duża fala, idziemy na dwóch refach ostro do wiatru. Pięknie te łódki chodzą, tu ukłon w stronę konstruktora, choć może dwa refy przy piątce to trochę dużo, co będzie jak walnie osiem, czy to maleństwo w ogóle nadaje się na ocean? Ale w halsówce idą ładnie do przodu, dobrze jest. Ziutek nawet nieźle daje sobie radę.